

Xenofonta wspomnienia o Sokratesie. Przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Ostrów. 1868. str. VIII, 167.

Przekłady, któremi p. Bronikowski od lat jedenastu przeszło obdarza naszą literaturę, możnaby podzielić na dwie klasy: jedne są gorsze, drugie lepsze, co zależy od rodzaju stylu, jakiego pisarz przekładowy używa. Tam, gdzie ten styl jest prosty i naturalny, gdzie się nie wznosi do abstrakcyjnych rozumowań, ani do wyższej retorycznej wzniosłości; gdzie w ogóle nie ma zbyt wielkiej subtelności w cieniowaniu myśli, tam przekład p. B. nic nie miał niemiłe rażącego.

Zupełnie rzecz się ma inaczej tam, gdzie powyżej wymienione własności są autora przekładowego cechą. Wówczas czytelnik gubi się w nierozwikłanej płataninie wyrazów tak dalece, że niekiedy sens staje się wtedy dopiero zrozumiałym, gdy się zajrzy do oryginału. To też najszcześliwiej wyszły w przekładzie p. B. *Dzieje Herodota* (1862) i *Fisma Xenofonta*; za to *Tucydyses* i *Platon* nie zbyt są zapewne wdzięczni p. B. za polską szatę, w którą ich przyodział.

Do lepszych przekładów liczymy także i ten, który na początku wypisaliśmy. Już sam wybór tego niewielkiego pisemka Xenofonta zasługuje na pochwałę. Jestto jedyne prawie wiarogodne źródło, z którego zaczerpnąć możemy wiadomości o charakterze, sposobie nauczania i całej filozofii Sokratesa. Xenofont spisywał swoje wspomnienia o tym praktycznym mędrцу starożytnéj Hellady, jako wierny, społeczny historyk, nie zaś jako samodzielny filozof; ztąd większą mamy rękomię w jego opowiadaniu aniżeli w *dyalogach Platona*, który przedstawiał swoją rację, niż Sokratesa filozofią. Dziełko więc Xenofonta jest w tym względzie nieocenionéj wagi. Przekład jego na język polski nie przedstawiał wielkich trudności; mało bowiem jest pisarzy z taką prostotą, nie pozbawioną jednakże pewnego wdzięku, wyrażających się, jak jest Xenofont. Jasność wykładu i brak długich, zawitych okresów, pozwoliły p. B. jako tako zachować swoją teorię niewolniczego tłumaczenia, o tyle przy najmniej, że choć nie wygodnie, z trudem, przybiewamy przecież do sensu.

Nieszczęśliwe jednakże nawyknięcie do jakichś niezwykłych wyrażen i wyrazów przez siebie samego utworzonych, niesłychanych form gramatycznych i t. p. równie tu, jak i w innych przekładach nie odstąpiło p. B. Na próbkę przytoczymy kilka przykładów, bo wyliczać wszystkie błędy byłoby niepodobieństwem. *Tym napięciéj* (str. 102) zam. *z tym większą gorliwością*; *zapaskiwanie się* (str. 104) zam. *zapaśnictwo*; *zdarzał* (str. 105) zam. *sprawał*, *przynosił*; *patrzących* (str. 105) zam. *zwróconych*; *miej się na baczności, abyś i ty krów mniej licznemi nie sprawiał* (str. 15), zam. *abyś nie zmniejszył liczby krów*; *zatuszyli o sobie* (str. 17) zam. *byli pewni siebie*,

ladaszczy (str. 19) w znaczeniu *zły* (πονηρός); my znamy ten wyraz jako prowincjonalizm w znaczeniu *leniwy, próżniak; sadowij* (str. 20) zam. *każ siedzieć* i t. d. i t. d.

Rzecz szczególna. Podług p. B. zdaje się być już regułą raz na zawsze ustanowioną, ażeby błędy, jakie wskazaliśmy, powtarzać w każdym swoim przekładzie. Od najpierwszego bowiem tłumaczenia, z którym wystąpił p. B. w 1857 r. t. j. od *Ekonomika Xenofonta* nieraz już zarówno w Bibl. Warsz. (mianowicie w 1861, zeszyt styczniowy) jak w innych pismach skarżono się na język i styl niezmordowanego tłumacza. Zarzuty te można głównie zredukować do dwóch: 1) Niewolnicze trzymanie się nie już sensu pewnego zdania lub okresu, ale następstwa zdań w okresie, a nawet następstwa wyrazów w zdaniu; skutkiem tego powstaje twardość stylu, brak harmonii i częstokroć, co najważniejsza, niezrozumiałość (jak np. w *rozmowach Platona* lub *historji Tucydidesa*). 2) Używanie przestarzałych, przez siebie utworzonych lub dosłownie z greckiego tłumaczonych wyrazów i wyrażeń, co często sprawia komiczność w czytaniu. Do tego przydać jeszcze należy brak poetycznych zdolności, a mianowicie *języka poetycznego*, co oczywiście stosuje się tylko do przekładu *Odysei Homera*.

Wszystkie to jednakże zarzuty i krytyki, które spotykały przekłady p. B., nie osiągnęły zamierzonego skutku; przeciwnie tłumacz bronił sposobu swojego przekładu w różnych odpowiedziach na krytyki i w przedmowach do swoich przekładów. Tak np. w przedmowie do *Dziejów Herodota* (1862) powiada: „Sumienna wierność powodowała mną, jako przy innych, tak i wśród tego tu przekładu, a którą rozciągam aż do najsubtelniejszego *odtworzenia kolorytu* pierwotworu. Świat helleniski.... wydał nie tylko w ogóle styl klasyczny grecki, bardzo różny już od rzymsko-klasycznego, ale nadto wydał jeszcze mnóstwo stylów osobnikowych, że tak powiem, najmocniejszymi również piętny odznaczonych. Charakter ogólny, plemiennęj cechy, porówno z poszczególnym osobników (indywidiów) pisarskich o całe nieba odróżnione od naszego świata i naszych pisarzy stylu, jak najbaczniej uwzględniać obowiązkiem być dobrego tłumaczenia uważałem” (str. XVIII). Ależ pozwoli sobie zauważyć p. B., że właśnie dla téj odrębności naszego języka, naszego stylu od języka i stylu greckiego, wymaganie jego jest niepodobne do spełnienia; gdyż zagraża uchybieniem własnemu językowi. Następnie trzeba sobie raz powiedzieć, że *odtworzyć* stylu obcego, w ścisłym i zupełnym znaczeniu tego słowa, niepodobna. Styl danego pisarza można tylko studyować w oryginale, bo tylko tym sposobem poznamy, jakich autor używa wyrazów ze szczególnym zamiłowaniem, czy się ubiega za archaizmami, czy za neologizmami, jakimi przeważnie posługuje się sposobami łączenia zdań i okresów i t. d., co wszystko przecież wchodzi w pojęcie stylu. Przekład, któryby wszystkie te szczegóły usiłował oddać w innym języku, nie byłby czém inném jak tylko karykaturą.

Że można tłumaczyć *wiernie*, nie trzymając się niewolniczo szyku wyrazów, o tём przekonywają nas liczne przekłady w naszej literaturze, z łacińskiego mianowicie języka. Takim jest np. tłumaczenie dzieł *Tacyta* przez Adama Naruszewicza, *Wellejusza Paterkula* przez Smacznińskiego, kilka ustępów z *Sallustjusza* przez *Sierocińskiego* i wiele innych. My chcemy w krótkim ustępie pokazać, jak niewolnicze trzymanie się wyrazów i szyku oryginału, sprzeciwia się duchowi naszego języka i jak wiele ujmuje estetycznemu wrażeniu. Pan *Michał Głisczyński* umieścił w pracy swojej p. n. *Sokrates, jego żywot, śmierć i nauka*, przekład kilku ustępów ze *Wspomnień o Sokratesie Ksenofonta*. Wybieramy z nich jeden z księgi I, rozdz. IV. Przekład p. Głisczyńskiego jest *wierny*, ale nie *dosłowny*. Czytelnik sam łatwo osądzi, które tłumaczenie jest zgodniejsze z wymaganiami naszego języka i naszego smaku. P. Bronikowski powinienby się przekonać, że można być *wiernym tłumaczem* myśli innego człowieka, nie przedrzeżniając jego ruchów i gestów.

Oto ten ustęp. Rozmowa między Arystodemem i Sokratesem. Arystodem na dowodzenia Sokratesa odpowiada, że składałby ofiary bogom, gdyby wiedział, że sprawy ludzkie cokolwiek ich obchodzą. Sokrates mówi: (tłum. p. Bronikowskiego): „Zatym nie mniemasz, aby się troskali? którzy najprzód *jednego z żyjących człowieka* (ma to znaczyć: ze wszystkich stworzeń jedynie człowieka) w prostej postawie *udziałali*, ta zaś prostota i więcej widzieć przed sobą *sposobnemi* ludzi *sprawia*, i ponad siebie dalej sięgać okiem zdolnemi, a mniej na szwanki ich naraża, gdy im bogowie wzrok i słuch i usta *wszczepili*; następnie innym przygiętym tworom tylko nogi dali, które jedno *chód zdarzają*; człowiekowi natomiast i *ręce przyłączyli*, które największą dopełniając tego, czym szczęśliwszemi jesteśmy od tamtych. Nadto aczkolwiek wszystkie żywotwory mają język, człowieczy tylko tak usposobiły bogi, ażeby już to téj, już to tamtéj części dotykając się uciech, *członkował głos i odznaczał* drugim ludziom, czego pragniemy? (str. 28, 29).

(Tłum. p. Głisczyńskiego). Czyliż ich nie obchodzą? a na cóż nam tylko wpośród innych stworzeń dozwolili podnieść głowę do nieba? W skutek tego dobrodziejstwa widzimy dalej, spoglądamy łatwiej ponad nasze głowy i tym pewniej unikamy niebezpieczeństwa. I wzrokiem nas obdarzyli i słuchem i usty. Następnie innym zwierzętom dali tylko nogi do przenoszenia się z miejsca na miejsce, człowiekowi zaś przydali i ręce, a ręce te czynią nas bez porównania wyższymi od wszystkich zwierząt. Wszystkie one mają język, ale nasz jedynie w skutek różnie skombinowanych ruchów wydaje wszystkie dźwięki i wypowiada innym wszystkie nasze chęci.

Wytrwałość p. Bronikowskiego w raz powziętym zamiarze zaznajamiania nas w krajowym języku z literaturą narodu, który pod względem artystycznego poczucia trzymał berło w starożytnym świecie, jest bezwątpienia godna szacunku i pochwały, jako rzecz nie zbyt często przytrafiająca się w naszym społeczeństwie. Ale z drugiej strony musimy także wymagać, aby te prace były istotnie pożyte-

czne i nie odpychały czytelników pod względem stylowym, nieogładzonym i duchowi języka naszego przeciwnym. Ogromna szkoda pracy, bezwątpienia szanownej, która nie przynosi spodziewanych owoców. Nie możemy się niestety, spodziewać, by głos nasz miał jakieś znaczenie i wpływ na p. Bronikowskiego; w każdym razie odezwać się z naszym przekonaniem, uważaliśmy za obowiązek.

17 kwietnia.

Chm.

P. Mathias Bersohn z zamiłowaniem pracujący dla archeologii naszej, opisał nowo przez siebie wykrytą w Norymberdze rzeźbę Stwosza i wydał teraz pod tytułem: *O Wicie Stwoszu i o jego rzeźbie „Pozdrowienie Anielskie”*. Przyczynek do historii sztuki średniowiecznej. Warszawa 1870, zeszyt in 4-to maj. Wydanie piękne, papier welinowy. Trzy wzorowe drzeworyty według W. Gersona z fotografii utworzone, wykonane przez J. Mincheimera i Styfięgo. Wit Stwosz Polak, rodem z Krakowa, wzniosły artysta sztuki średniowiecznej, połowę życia przepędził na ziemi ojczystej. Miał wielką wziętość u ziomków, cieszył się szacunkiem najznakomitszych ludzi, jako mąż cnotliwy i nieskazitelny. Potem na drugą połowę życia przeniósł się na ziemię niemiecką do Norymbergi, i tam przez dwóch szalbierzy wciągnięty w matnię pieniacką, zamiast obrony i sprawiedliwości przeciwko podstępom i zdradzie, doznał najcięższej, jaka na człowieka spaść może, krzywdy. Na skargę bowiem niecnym ludzi, gwałtowna i obrażona Rada sądowa miejska, związanego Stwosza, wtrąciła do lochu, brała na tortury i pośpiesznie skazała go na pigtnowanie obu policzków, tak, że ledwie utalentowanego artystę od wypalenia oczu wyproszono. Po długich dopiero latach cierpień i starania, cesarz uznał niewinność Stwosza i niesprawiedliwe pokrzywdzenie; publicznym aktem podniósł go z niesławy i przywrócił do prawa i czci. I wówczas jeszcze Rada zabroniła mu aktu tego publicznie ogłaszać, a nawet mówić o swjej niewinności, zaś w aktach jęj sądowych takie jest poświadczenie: „Że Wit Stwosz niespokojny i bezbożny obywatel, który Szanownej Radzie i gminie miejskiej wiele niepokoju narobił.”

Po trzech wiekach od tego tragicznego wypadku, kiedy wykrywane wniosłe utwory Stwosza odskoniły światu nadzwyczajny talent, już artysta z takimi zdolnościami, bez względu na dowody i przeszłość, musi być wyłącznie własnością Niemców:—a dziś, jak w germańskiej Walhalli Kopernik, tak i Stwosz w Ruhmshalli bawarskiej, stoją oba jako Niemcy, ku większej narodu niemieckiego chwale. Szczegóły żywota Stwosza i ocenę pomników jego twórczości, zebrali Ambroży Grabowski, Alexander Lesser, Józef Łepkowski, Edward baron Rastawiecki, którego dowody wykryte z akt sądowych Norymbergii, ogłoszone są w Bibliotece Warszawskiej w r. 1860 w styczniu, zbierali szczegóły o Stwoszu i inni arche-